

PRZESWIT

ROK IV LÓDZ MARZEC 1985

Ojciec MIECZNIKOWSKI:

ZAGROŻENIE ZBIOROWEGO DOBRA

(homilia w czasie Mszy św. za Ojczyznę u Matki Boskiej Zwycięstwa w Łodzi, dn. 27. I. 1985 r.)

Gromadzimy się na Mszach św. za Ojczyznę. Coraz liczniej i coraz częściej! Podejmujemy modlitwę wiary, ten najcenniejszy wysiłek ducha, na jaki nas stać, bo chodzi o wielkie zagrożenie zbiorowego dobra, jakim jest Ona - nasz wspólny dom i nasza najcenniejsza więź społeczna tu, na ziemi.

To, co nas czyni Polakami, to dobrowolnie przyjęta i zaakceptowana świadomość i obowiązek moralny, że ten kraj, ta historia i kultura, jedyną słowem - ten kształt bycia człowieka jest piękny i cenny, a przede wszystkim jest nasz. On nas uformował, formuje i daje nam duszę, osobowość społeczną, odrębność i niepowtarzalność wśród innych społeczeństw.

Nie miała, a owszem główna racja tej akceptacji tkwi w tym, że jest to matka wychowująca nas i dla ziemi, i dla nieba. Że jest to wychowawczyni mądra, godna zaufania, nie zatrzymująca naszego wzroku na białostkach, lecz przekazująca istotne wartości, wprawiająca do pracy za nie i dla nich, podnosząca nasze oczy wysoko ku niebu, gdzie pełna i prawdziwa Sprawiedliwość mieszka.

To, co czyni nas Polakami, to również dobrowolnie przyjęta i zaakceptowana świadomość, że ten kraj i naród wykonał wielką pracę i przeszedł ciężkie walki i bolesne doświadczenia, aby być sobą i pozostać sobą. To jest jakiś szczególny tytuł naszej akceptacji i naszej wobec niego wierności. Chcielibyśmy, żeby był wielki, ale przyjmujemy go takim, jakim jest i kochamy tym goręcej w jego skromnej rzeczywistości, bo nie miała część jego ubóstwa i niedostatku to uporać się walka o to, aby być, aby nie zniknąć i aby pozostać sobą, choćby się niewiele miało, choćby się trudno żyło.

To, co nas czyni Polakami, to nada wszystko dobrowolnie przyjęta i zaakceptowana powinność moralna, zobowiązanie głęboko odczuwane w sercu, że z tego dobra, w jakim uczestniczymy i z jakiego korzystamy - o, jak bardzo dużo! - nie uronić nie można, w niczym go uszczuplić, lecz przeciwnie - ustrzec, pomóc żyć i wzmocnić trzeba, mamy obowiązek, czujemy nakaz!

Nie wszyscy, niestety, są w ten sposób Polakami, choć imię to noszą i mowy polskiej używają. Dla niejednego Polska, to prywatny folwark, z którego czerpie się, ile tylko się da, z którego wyekska się, ile tylko można, choćby to doprowadziło do żalosnej dewastacji, do zupełnego wyjakowania. To nie są synowie Ojczyzny, to są jej dzierżawcy!

Ci przestali być Polakami, choć imię to noszą i mowy polskiej używają. Polska jest dla nich nie Ojczyzną, lecz obczyzną, kolonią maksymalnej eksploatacji dla zysków cudzych lub własnych.

Są tacy, którzy marnotrawią cenne dziedzictwo, od materialnych zasobów począwszy, a na kulturalnej i duchowej substancji narodu skończywszy. Przeciwno nim naród nasz od 100 lat śpiewa:

Nie rzucić ziemi skąd nasz ród,
nie damy pogrześć mowy!...
Polski my naród, polski lud,
królewski szczer Płastowy.
Nie damy, by nas gnębił wróg,
tak nam dopomóż Bóg!

Przeciwno ich nowym wcieleniom, bardziej ukrytym i podstępny, śpiewa nową wersję "Roty":

Nie rzucić, Chryste, świątyni Twych,
nie damy pogrześć wiary...
Frózne zakusy duchów złych
i frózne ich zamiary.
Bronić będziemy Twoich dróg,
tak nam dopomóż Bóg!

Przed wszystkim zaś w wym zagrożeniu modli się karliwie i prosi:

RADOSNEGO I OWOCNEGO PRZEŻYWANIA TAJEMNICY ZMARTWYCHWSTANIA

życzy

Redakcja

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki Otaczał blaskiem potęgł i chwały... Coś ją osłaniał tarczą swej opieki od nieszczęść, które przygnębił ją miały. Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!

Nie każdy wzrok dostrzega zagrożenia. Trzeba, aby go wyostrzył lęk płynący z serca!

Pierwszym, który zobaczył i niezlomnie stanął przy integralności naszego dziedzictwa duchowego - zgromadzonego i wypracowanego wysiłkiem pokoleń - był Prymas Kardynał Stefan Wyszyński. Nieodmiennie wyławiał wszystkie fałszywe tony życia społecznego. W lot sygnalizował zagrożenia. Nieugięte strzegł, aby niczego nie puszczano w niepamięć, nie pomniejszono, nie spaczono. Stał się naszym Noem, który w arce Kościoła przewiózł przez wczesne wody potopu całe dziedzictwo wiary i miłości narodu. Naraził się przez to niejednemu. Organizatorzy potopu chcieli jego pierwszego zatopić w wodach... Ale Bóg udaremnił ten zamiar. A naród okrzyknął go spontanicznie ojcem i zbawcą Ojczyzny!

Mamy i drugiego. Nie tylko uczestniczył w akcji ratunkowej, ale dziś wprowadza to ocalone dziedzictwo nasze Ojczyźnie do skarbcza wspólnego całego ludzkości i powszechnego Kościoła. A przez to utrwała, nobilituje, nadając mu wymiar uniwersalny, wprzegając w służbę człowieczeństwa. Czy to, co nasze, mogło dostąpić większego zaszczytu, stając się częścią tego, co powszechne? Już tylko krok do tego, aby być nazwane "wielkie".

Nie sposób wymenić wszystkich, którzy w tych wielkich sprawach wzięli udział, dali swój wkład i zwycięstwo opłakali ofiarą. Wymienimy przynajmniej ostatniego, kapłana Jerzego, który umierając nie zginął, a zwyciężony zwyciężnie - duchem stokroć zwyciężył i owocuje.

Modlitwa, na którą te postacie zwołują, jest przede wszystkim wołaniem do Boga, Pana historii i Rządcy narodów. Ale jest też refleksją nad sprawami wiecznie żywymi, bo wielu już potrafi je ocenić i za nic od nich nie chce odstąpić.

(Tekst homilii drukujemy bez zgody i wiedzy Kaznodzieli)

Każdy kiedyś do czegoś dojrzeła

/rozmowa z Lechem Maczakiem, szefem Teatru 8 Dnia/

Teatr 8 Dnia z Poznania, współtwórca legendy teatru studenckiego przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, laureat wielu festiwali, zakończył 31 sierpnia br. swoje oficjalne życie, przenosząc się w inne rejony. Jak to się odbyło? Co było powodem tej poronnej śmierci?

- Powód? Myślę, że wszystko, cała nasza dotychczasowa działalność. To, że mimo ograniczeń i obciążeń nie liczyliśmy się z obowiązującą polityką kulturalną robiliśmy to, co uważaliśmy za stosowne, że byliśmy niezależni. Zaważyły na tym także konflikty z władzą jeszcze z lat siedemdziesiątych, od "Wprowadzenia do..." i "Jednym tchem" poczynając.

- Były to przedstawienia nagradzane przez oficjalne sady konkursowe, choćby sędzińskich spotkań teatralnych...

- "o

- Owszem, ale jednocześnie zakazywane przez władze. "Jednym tchem" zjęto już w roku 1973, w najlepszych czasach gierkowskich. "Przecena dla wszystkich" z końca lat 70-tych była zdejmowana i wracała na afisz trzy razy, aż ją wreszcie po wieloletnim zakazie wyjazdów zagranicznych wywieźliśmy zagranicę pod ostoją "solidarności". Te wszystkie konflikty skumulowały się. Ostatnie wypowiedzenie nie jest zresztą jedynym. Po raz pierwszy otrzymaliśmy takie w połowie 1982 r., tyle że musiano je cofnąć pod naciskiem nieskontrowanej w porę opinii publicznej. Prasa miało więc nie została w porę poinstruowana i zaprotestowała przeciw tej decyzji. Tym razem instruktaż został przygotowany. W Poznaniu od dawna nie było wol-

PRZESWIT

str.1

no o nas pisać, na przykład w maju br. zdjęto z gazet informacje o tym, że otrzymaliśmy wreszcie salę.

- Więcej zorientowanym Czytelnikom trzeba wyjaśnić, że w latach 70-tych uzyskaliście status teatru zawodowego, stąd kwestia rozwiązania, wypowiedź itp. Zbliżyliśmy się do paradoksalnego finału - w maju własna sala, w sierpniu wypowiedzenia. Jak to wszystko się odbyło - pytam o szczegóły, aby ukławić pracę kronikarzem.

- Zacząć trzeba chyba od tego, że od października 83 do kwietnia 84 musieliśmy po wypadku samochodowym zawiesić naszą działalność. Część z nas leżała w szpitalu, więc siłą rzeczy żadnych konfliktów z władzą mieć nie mogliśmy. 16 maja br. otrzymaliśmy wreszcie, po 20 latach oczekiwania, salę na własność. Zagraliśmy parę spektakli, po czym pojechaliśmy w Polskę realizować stare zamówienia. Po drodze zajrzeliśmy do Warszawy, gdzie się dowiedziałem, że ministerstwo kultury i sztuki cofnęło swą wcześniejszą zgodę na nasze występy w Szwajcarii i w RFN. Zamówień

mówiłem się wtedy u wiceministra Bajdora, aby wyjaśnić sprawę. Audyencję otrzymałem w połowie czerwca. Bajdor stwierdził, że ministerstwo nie jest zainteresowane popieraniem teatru prowadzącego wrogą państwu działalność. Spytałem, co on przez to rozumie? Odpowiedział, że chodzi mu o to, że prowadzę korespondencję z Adamem Michnikiem. /Leżąc w szpitalu wymieniałem z Michnikiem, który był jeszcze w więzieniu, dwa listy legalną drogą oraz wysłałem życzenia na imieniny i -wiadzę/, to było to, co zdaniem Ministerstwa -przepełniło szalę goryczy. Powiedziałem wtedy, że na tym poziomie nie będę rozmawiał i opuściłem gabinet. Zatelefonowałem natychmiast do Poznania i dowiedziałem się, że w Estradzie, której podlegaliśmy, jest już pismo od wojewody z powiadomieniem, iż cofa dotację, bo nie może dotować instytucji, która powinna przynosić dochody.

- Władze Poznania chciały więc zakławić sprawę w rękawiczkach?

- Tak, ale wkrótce indagowane przez nas Ministerstwo, dokładnie dyrektor Departamentu teatrów, Trzciański, odpowiedział, że kwestia finansowa nie jest istotna, że chodzi o to, iż teatr prowadzi działalność niezgodną z interesami państwa. Po cofnięciu dotacji zdecydowaliśmy się zagrać w Warszawie, w kościele Miłosierdzia Bożego, mając od dawna zakaz wjazdu do stolicy. To był już akt ostatecznego zerwania. Po przyjeździe z urlopu w kasie Estrady czekały na nas wypowiedzenia. W ten sposób 31 sierpnia br. Teatr 8 Unia przestał istnieć jako oficjalnie zarejestrowany.

- Istniejemy. Sądzę, że ktoś tam na górze nie domyślał sprawy do końca, bo przecież kłopot z nami dopiero się rozkręcił. Rozbawieni możliwością działania oficjalnego, które zawsze było do skontrolowania i do ograniczenia /nie było nam wolno grać w Warszawie, cofnięto nas w ostatniej chwili z festiwalu w Szczecinie i w Toruniu, z występów w Krakowie/, znaleźliśmy się siłą rzeczy w sytuacji, w której poza możliwością policyjnych represji nie ma żadnych innych szans ograniczenia nas. Gramy w kościołach i na to władze nie mają już żadnego wpływu - co gramy, jak często, w jakich miastach.

- Chcesz powiedzieć, że jest to dla was sytuacja korzystna?

- Ona jest dosyć dwuznaczna. Straciliśmy wiele - to znaczy straciliśmy salę, o którą walczyliśmy prawie 20 lat, straciliśmy możliwość uregulowanej pracy, a także organizowania obok teatralnej działalności spotkań dyskusyjnych, czy przedstawiania zjawisk, które giną na marginesach oficjalnej kultury. Zyskaliśmy jednak także bardzo wiele. Przede wszystkim poczuliśmy się teraz wolno w swoim kraju. Zniknęła autocenzura. Jesteśmy zdani tylko na siebie i to jest luksusowa moralnie sytuacja. Nie wiem, jak długo taki stan będzie trwał, jak długo uda się go utrzymać, ale tych kilka miesięcy wolności to też jest coś.

- Co się zmieniło po waszym wyjściu z oficjalnego obiegu. Jaką macie publiczność, jak się czujecie w nowych miejscach?

- Z publicznością było u nas zawsze tak, że się zmieniała wraz z naszym przenoszeniem się z sali do sali. Ostatnio bardzo odmknęliśmy - pojawiło się wielu licealistów z ostatnich klas. Obecnie jednak obserwowujemy większe zróżnicowanie generacji. Publiczność, którą mieliśmy wcześniej, jest nadal, ale dośzło wielu ludzi, którzy przychodzą dlatego, że spektakl odbywa się w kościele lub przy nim. Nie czujemy jednak zmian w odbiorze. Charakter reakcji emocjonalnych jest przy zróżnicowaniu pokoleniowym bardzo zbliżony.

- A sam kościół, jego atmosfera?

- To istotna trudność. Mniejsza oczywiście, jeśli gramy w salach przykościelnych. Kościół nie jest

miejscem przypadkowym, neutralnym, które, jak sala teatralna, nacechowane dopiero naszą obecnością. Kościół ma własne nacechowanie, swoją atmosferę. Odmienność ma własne nacechowanie, swoją atmosferę. Odmienność w kościele cokolwiek jest bardzo trudno, a zresztą nie mamy ani uprawnień, ani też powodu, aby cokolwiek w nim zmieniać. Trzeba to wszystko brać - i to jest właśnie trudność.

- Jest jakieś inne wyjście?

- Choć bylibyśmy w stanie utrzymać się jako teatr sami, nie będąc na etatach państwowych i grając w miejscach przystosowanych, po prostu tam, gdzie nas chcą, realizując osławione trzy "S" - faktycznie takiej możliwości nie mamy. Jest więc, jak jest, a kościółowi możemy tylko podziękować, że nas przygarnął.

- Co sądzisz o sytuacji pokrewnych wam teatrów, jeśli oczywiście czujesz pokrewieństwo?

- Przetrwało ich niewiele, istniały obawy, że to wszystko może się rozszypać. Ostatnio jednak zainteresowanie wzrasta, wiele zespołów na nowo się odradza. Przynajmniej na przykład te trzy teatry luelskie - "Prowizorium", "Scena 6" i "Scena Chwilowa", w Katowicach "Wiatyk" - teatr bardzo śląski, a jednocześnie uniwersalny. Istnieją też grupy młodych ludzi, którzy znają tylko ze słyszenia tradycję teatru studenckiego, szukają na własną rękę form wypowiedzi poza konwencją "normalnego" teatru. Bywa, że jest to niedobre artystycznie, ale ważne, że pojawia się taka potrzeba i że pojawia się właśnie teraz.

- Z Łódzkim "Teatrem 77" byliście, zwłaszcza po jego "Budowie" /1977/, dość skonfliktowani...

- Owszem. U nich przez długi czas istniała wiara w możliwość kompromisu między systemem, ustrojem, a potrzebami ludzi. Wiara, której myśmy nie mieli już od dawna. Nie rozumieliśmy wielu ich pytań, bo dla nas pozostawały rozstrzygnięte. Stąd zrodził się konflikt, taka była jego podstawowa przyczyna. Jednak po ich "Irenie weselnym" według baczyńskiego, uswiadomiliśmy sobie, że wstrząs 13 grudnia był naszym wspólnym przeżyciem i że nasze myślenie jest bardzo zbliżone. Pozwoliło to otworzyć możliwość porozumienia się na nowo.

- Każdy kiedyś do czegoś dojrze. Przed "aprowadzeniem do..." byliście teatrem nieznanym, peryferyjnym. I nagle wyskoczyliście... Co było tego powodem?

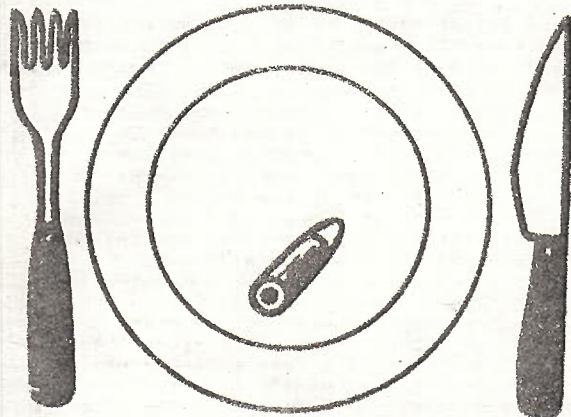
- Istotnie, na początku egzystowaliśmy jako wykwit awangardy, którą mało kto ogląda. Zainteresowania polityczne prawie nie istniały, skupiali się na teatrze, na sztuce. Abstrahowało się wtedy od tego, co ma być podstawą porozumienia z widownią, szukano się - ja k. Nasza radykalizacja bierze się z 68 roku. To takie wprost, namacalne nawet, rozpoznawalne na skórze doświadczenie. Uderzyła w nas rzeczywistość i tak się zaczęło myślenie o powinnościach człowieka teraz, w naszym kraju.

- Co byś radził nowym lub poszukującym siebie zespołom?

- Nie, ponieważ nie wiem, czy umiałbym poradzić cokolwiek. Czy można komukolwiek cokolwiek radzić? Każdy musi szukać siebie. Sam czuję, że w to, co robię, zostałem wpędzony przez sytuację, zmuszony przez to tego, aby w teatrze odpowiadać na to, co się dzieje wokół. Tymczasem ciągle mam tęsknoty do takiej sztuki, do takich problemów, które są istotniejsze niż szare życie, które zawsze istniały nad szarym życiem w różnych epokach. Tylko nie ma czasu ani możliwości, aby się nimi zająć, a równocześnie coś w rodzaju poczucia obowiązku skazuje mnie na to, aby wszystko, o czym się myśli, wiązać z prozą naszego życia.

Rozmawiał J.L.

/Wywiad zamieszczamy bez wiedzy i zgody Lecha Roczaka/



Reżyseria nienawiści

Jakkolwiek by nie patrzeć na proces przeciwko zabójcom ks. Jerzego Popiełuszki, jedno jest już pewne: stał się on okazją do ujawnienia talentów w reżyserowaniu nienawiści, potwierdzającej zainicjowaną wcześniej kampanią szkalowania Kościoła w Polsce. Poczynając od września ub roku, rządzący nieśmiało, ale za to cynicznie przeciwstawiają stanowisko ks. Prymasa Józefa Glempa stanowisku Ojca Świętego. Dzięki temu wielu inteligentów powtarza, że Prymas jest ugodowy i za cenę budowania kościołów chce rozmawiać z czerwonymi oraz z nimi się uładzać. Ojciec Święty natomiast - twierdzą - jest gotów, by "dać popalić" czerwonym jako ich zagorzały przeciwnik. Gdyby nie Papież, Prymas byłby jeszcze bardziej ugodowy!

Te wszystkie narzekania i domniemywania są dowodem niewiedzy. Nie ma i być nie może żadnego rozdźwięku między Papieżem a Prymasem Polski. Obaj są wybitnymi znawcami polskich stosunków społecznych, polskiej etyki z jej zaletami i wadami. Komunizm uczył się Papież w czasie swej formacji kapłańskiej, a Prymas już w czasie umysłowego dojrzewania. Nie chce się jakoś rozumieć, że perspektywa widzenia polskich spraw jest taka sama, bo katolicka, z tym że Papież ją nobilituje i nadaje wymiar uniwersalny, czyli podpowiada innym narodom, co dobrego mogą z polskości wziąć dla siebie, a Prymas bezpośrednio czuwa, aby ona trwała, była sobą, nie wynaturzała się w licznych narogach i fajdactwach.

Jeszcze przed wrześniem wrócili czerwoni do praktyki wszczynania zamętu w umysłach i sączeni nienawiści poprzez przeciwstawianie księży, tj. tzw. ekstremy księżom Kochającym socjalistyczną ojczyznę. Rzecznik nienawiści - Jerzy Urban chętnie o tym rozprawia, a wielu katolików mu przytakuje. Potwierdzają to doświadczeniem własnym, bo idą oto do kościoła i słyszą kazania, w których treści i jakości ewangeliczne są konkretyzowane współczesnymi danymi życia polskiego, lub sączą takie kazania, w których takiej konkretyzacji brakuje. Czas zrozumieć, że nie oznacza to wcale, iż jedni kapłani są przeciwni, a drudzy za socjalizmem. Już czas, by wiedzieć, że kapłana nie obchodzi żaden socjalizm, nie obchodziłby żaden kapitalizm, gdyby taki w Polsce istniał. Jego może tylko obchodzić zło, jakie ten socjalizm lub ten kapitalizm. Co najwyżej można się spierać o rodzaj talentu jednego lub drugiego kapłana, o sens ich homilii, w których równie dobrze można odwoływać się do współczesnych doświadczeń życia zbiorowego Polaków jak i poprzestawać na uniwersalnych uogólnieniach.

Czerwoni chętnie posługują się szantażem, aby realizować swoje cele. Stosują szantaż towaru, mieszkania, pracy, a ostatnio również obywatelstwa. Nie będziesz posłuszny, nie dostaniesz mieszkania, nie pozwolimy ci nic kupić, nie będziesz pracował, fora z komunistycznego dworca. Podobnie szantażują kościoły. Mogą bowiem zawsze zablokować pozwolenia na budowę świątyni, zabrać do wojska kleryków, utrudniać wydawanie prasy katolickiej itd.

Ale proces w Toruniu to nie szantaż. Uznali go za dobrą sposobność zbezczeszczenia całego polskiego Kościoła oraz znieśławienia heroicznego ks. Jerzego Popiełuszki, paru księży i biskupów. Mechanizm, którym się posłużyli, został wcześniej wypróbowany przez Lenina. To on najpierw ograbił cerkiew, starał się ją znieścawić, potem kazał rozstrzelać co znaczących kapłanów, wrzucić "odnowić" cerkiew nasykając posłusznych sobie ludzi. Oczywiście, leninowskiego wzoru w Polsce zrealizować nie sposób. Wyreżyserowano przeto widowisko nienawiści, przypominające co i raz jakiś "socjalistyczny humanizm".

Maksym Gorki, współtwórca tego humanizmu, sformułował jego generalną zasadę: jeśli wróg się nie poddaje, trzeba go zniszczyć. Takim wrogiem został wybrany ks. Jerzy Popiełuszko i fizycznie zniszczony. Ale wrogiem jest również cały Kościół i wszyscy, którzy zachowują jakąkolwiek niezależność lub poczucie wewnętrznej wolności, stać ich zatem na pewien wybór działań, ideal lub własnej drogi życiowej. Wolność bowiem wewnętrzna, tj. prawdziwa wolność w sobie, jest dla komunistów niebezpiecznym stanem umysłu, pozwalającym jednostce również na wybór kierunku myślenia i postępowania, dzięki czemu umyka spod kontroli, jaką chcą posiadać, przymuszając do uznawania społecznego dogmatyzmu, politycznego, ideologicznego, czyli szeregu praktyk samocenzury.

Przeciwnika należy nie tylko zabić, ale trzeba go znieścawić lub zbezczeszczyć. Pamięć o ks. Popiełusce bezczeszczeni: oskarżony Piotrowski, oskarżyciel publiczny, przewodniczący zespołu sędziowskiego, obrońcy. Za nimi telewizja, radio i wszystkie partyjne gazety. Wszyscy sugerowali, że ofiara jest sama sobie winna,

gdyż dokonywała działań niezależnych i była nieposłuszna wobec rządzących.

Kiedy uważnie czyta się dokumenty Urzędu do Spraw Wyznań, pro memoria (w sądzie przedstawiono ich trzy), wówczas okazuje się, że czynem przeciwko reżimowi jest każde samodzielne działanie, które może prowadzić do samorganizacji społeczeństwa. W dokumencie z dn. 27 stycznia 1984 r. np. czytamy: "w dniu 24 stycznia br., w kościele w Krasieczynie odbyły się kolejne rekolekcje dla działaczy byłego NSZZ "S" i NSZZ "S" R. I., ks. bp I. Tokarczuk poinformował, że w Rzeszowie prowadzone są konferencje nauki społecznej, że decyzją Kurii przemyskiej ci, którzy ten kurs ukończą, otrzymają dyplomy misji kanonicznych, co upoważni ich do prowadzenia w parafiach wykładów".

O co tu chodzi, jaka tu wina, czyja? Że bp I. Tokarczuk przemawiał do działaczy zakazanych związków "S"? Czy idzie tu o wspomnienie nauki społecznej Kościoła? Że niektórzy otrzymają dyplomy upoważniające ich do prowadzenia wykładów w parafiach? Doprawdy, trudno dociec. Zdaje się, że została tu oskarżona nauka społeczna Kościoła, która za fundament uznaje godność osoby ludzkiej, tym samym sprzeciwia się wszelkim kolektywizmom, które zawsze są formami upaństwowienia, a więc i uprzedmiotowienia jednostek, w sumie - niewolenia. Czerwoni toleruje tylko tych katolików, co te za możliwość chodzenia do kościoła chwala władze, milczą potulnie i czekają aż ten zmocniony się czynnie im wyperswaduje szkodliwość praktyk religijnych w imię postępu.

Sala sądowa w Toruniu stała się z konieczności miejscem starcia dwu światów. Jeden z nich, wierny zasadom katolickim oraz polskim tradycjom wolnościowym, jest nieczym skazaniec, który stara się rozluźnić pętlę dławiącą jego gardziel. Drugi zachowuje się jak oprawca, który przez 40 lat tę pętlę zaciska, czasem poluzuje, przy tym głośno wrzeszczy, że chce z duszonym rozmawiać. Siłucha jednak tylko wtedy, gdy duszony okazuje mu swoją wdzięczność za duszenie.

Czerwony innego dialogu uznać nie potrafi, bo musiałby się wyzytyć nienawiści, którą ideologicznie dziedziczy po Karolu Marksie. To dziedziczenie stworzyło nawet interesujące egzemplarze gatunkowe. Chiopcy jak malowani, wysportowani, o nienaganej kondycji psychicznej, mają się znacznie lepiej niż ich ojcowie, korzystają z większych przywilejów, nawiąki do lekceważenia prawa, co ułatwia im gruntowanie stanu posiadania. Wiernie służą firmie, zajęli miejsca ojców. Jakże to zdrowe psychicznie: czego ojciec nie zrobił, naprawił syn lub zięć.

Przykład - Piotrowski. Wielokrotnie powtarza: już taki mam charakter, wysoki sędzie. Frazy, wyrażenia, zwroty, które tym powtórzeń towarzyszą, mają brzmieć czysto. Tak mu kazano. Ale brzmią fałszywie, gdyż zawodzi jego inteligencja. Piotrowski się rozdziara na dwoje: on i jego charakter. Stoją obok siebie. Mają pretensje, piatają sobie figle, bawią się jak zachowate parobczaki. Piotrowski mówi wtedy, że poczucie winy go nie paraliżuje, do usiłowania zabójstwa nigdy się nie przyznał, do spowodowania śmierci tak - przekonywuje, by za chwilę zioną nienawiścią do oskarżycieli politycznych, bo bronili tych, co należeli do związków pragnących siłą obalić PRL (KPN, KUR). Puszcza następny strumień nienawiści, gdy mówi o Kościele, księżach, biskupach, którzy rzekomo dążą do konfrontacji z państwem. Wyznaje skromnie spuszczać oczy, że nie zna ceny, jaką zapłaciłby za to, aby państwo było silne. Kompanom wprawia przy okazji, że powinni się fascynować jego osobą.

Zakładamy, że Piotrowski nie gra wyznaczonej roli wg podrzuconego scenariusza. Byłby wtedy w pełni sprawną inteligencją na poziomie działań. Zawiodłoby zupełnie na poziomie celów. Ale Piotrowski nie może się obejść bez dyrektyw, bez ideologicznego poparcia góry, która inspirowa i obdarza mocą. Tak został uformowany. Gdy dyrektywy kłócą się z rzeczywistością, tym gorzej dla rzeczywistości.

Czasem mówią taki stan umysłu nazwą zniewoleniem (zniewolony umysł, Paryż 1953). Gdybyśmy jeszcze spytali o jego poczucie wolności, prawdopodobnie wzruszyłby ramionami lub wyrecytował: "wolność to uświadomiona konieczność". Nie zna potrzeby posiadania "wolności w sobie". Stan jego umysłu zależy wyłącznie od środowiska, w którym przebywa. Ono wzmacnia jego samopoczucie nagrodami, rozgrzeszaniem z bezkarności, wzmacnia jego poczucie mocy otrzymując przeświadczenie, że uczestniczy w strukturze władzy. Przyznaje przeto, że jest pasjonatem prawa, choć ma na myśli przyjęte dogmaty, które są dlań prawem. Wszystko inne jest godne pogardy. Złości się, gdy chce się o nim ujawnić prawdę.

Piotrowski jest zdolny do tego, żeby go awansować. Dobrze czuły się w roli ministra. Ale Piotrowski jest

Atmosfera do samorozwoju, do działań kreatywnych. Na tym polega dramat człowieka wychowywanego wg ideologii komunistycznej. To jest także osobisty dramat kapitana Piotrowskiego.

Piotrowski bowiem skompromitował publicznie pewien ideał wychowawczy, jaki proponuje socjalistyczna pedagogia. Kształtuje go system nagród i kar. W dzieciństwie wtoczono Grzesia do harcerstwa, później do ZMS. Przekonano go, że sama przynależność jest już społecznym pożytecznym. Oczywiście, wstąpił do partii, by spełnić obywatelski obowiązek. Cały czas dawkwano mu wiedzę o środowisku, zakłamywano historię, nie rozbudowano wyższych uczuć, uparcie uczono partyjnego rozumienia prawdy, że dzisiaj są historia nienawisci jednych przeciw drugim. Tak przygotowanego mogli używać do "wyższych" celów - jakaś centrala, jakiś KÜ, dyrektor. Widowisko w sali wojewódzkiego sądu w Toruniu miało zapewne wielu reżyserów. Nie ma potrzeby ich wliczać i opisywać zasługi. Lepiej pochwalić kamerzystę, który wliczał nam w pamięć portrety sądzonych esbeków, plecy generała Zenona Piątka, plecy paru pułkowników. Za tymi plecami ukrywali się ludzie mniej lub bardziej piotrowscy?

Litość budzący pan Chmielewski krzesali z siebie resztki energii, by przekonać o swym spsiałym posłuszeństwie wobec szefa, że żałuje, iż naraził na szwank dobro firmy. Bliski piątku pan Pękala mówił w ostatnim słowie o szkodzie, jaką wyrządził resortowi i państwu, bo nie umiał przewidywać. Tylko Pietruszka był ambivalentny. Teoretyzował, wzdychał nad swoim nieszczęściem. Cały czas w masce.

Który z reżyserów ustawił w ten sposób te ludzkie rekwiizyty? Sąd odpowiedzi nie udzielił. Pomógł natomiast wyreżyserować nienawiść, aby nas przekonać o umiarkowaniu praworządności przez panującego generała. Jego Mitość znalazł niebawem okazję, aby o tym publicznie powiedzieć i wyrecytować parę komunałów. Powtórzy je później rzecznik nienawisci, min. Jerzy Urban, będzie cynicznie atakował i Kościół, i Krajową Komisję "S", i Lecha Wałęsę. Ostatnio namawia Kościół do samoczyszczenia, bo takie rzekomo przeprowadził rzą skazując zabójców księdza Popiełuszki. I znajdują się tacy, którzy będą się starać mu uwierzyć.

Feliks Mikołowiec

Pozory prawa

Pomysł z baniacją, zwaną po polsku wygnaniem, jest tak absurdalny, że rodzi podejrzenie wielkiej mistyfikacji. I choć projekty ustaw norwimberckich też wydawały się absurdalne, twierdząc, że publiczne zgłoszenie propozycji wprowadzenia do kodeksu karnego kary wygnania, jest kolejną próbą sterroryzowania opozycji, a nie na serio przez władze traktowanym postulatem zmian w prawie karnym.

Nie leży w interesie obecnej ekipy sprowokowanie masowych protestów na skalę o wiele większą, niż to miało miejsce przed zmianami konstytucji w 1976 roku. rzecież tu zjednoczą się wszyscy! Kara wygnania obywatela z własnego kraju na mocy wyroku sądowego jest barbarzyństwem, wobec którego błędna dotychczasowe osiągnięcia socjalistycznego ustawodawstwa. Sądzę więc, że reżim zgłaszając tę propozycję wcale nie ma zamiaru wprowadzenia jej w życie. Chce on natomiast - i to określam mianem wielkiej mistyfikacji - wprowadzić do prawa karnego cichaczem szereg innych zmian, tak, aby opinia publiczna oburzona propozycją baniacji nie zauważyła, że w prawie karnym dokonano się poprawek, o które rzeczywiście chodzi. Z baniacji się zrezygnuje, opinia odniesie zwycięstwo...

Precedensy już są. Kiedy stan wojenny ulegał tzw. zawieszoniu, projekt stosownej ustawy pozostał otrzymanym na godzinę przed posiedzeniem Sejmu, choć regulamin wymaga najmniej trzech dni. Projekt pozostawał w mocy militaryzacji, sądy wojskowe, tryb doraźny, zakaz strajków i wiele innych zdobyczy stanu wojennego. Ale nie to było, wbrew pozorom, najważniejsze, gdyż powyższe restrykcje miały obowiązywać tymczasowo, do czasu zniesienia stanu wojennego.

Istota zmian leżała we wprowadzeniu do prawa karnego trwałych poprawek mających na stałe ograniczyć prawa obywatelskie. I to w taki sposób, aby zdezorientowana opinia publiczna dowiedziała się o tym dopiero wtedy, kiedy projekt przejdzie bez zarzutu w Sejmie.

Ulatęgo właśnie na posiedzeniu sejmowej Kom-

sji Spraw Wewnętrznych i Wymiaru Sprawiedliwości poprzedzające o parę tylko godzin posiedzenie plenarne nie wpuszczono prof. Gubińskiego i prof. Kubickiego. Skądinąd ekspertów sejmowych. A także że zatrzaśnięto drzwi przed nosem dyspozycyjnych dziennikarzy z "Trybuny Ludu" i "Życia Warszawy".

Na czym polegała treść zmian, które tak skrzętnie chroniono? Ustawa o szczególnej regulacji prawnej w okresie zawieszenia stanu wojennego wpisała na stałe do kodeksu karnego przepis art. 282 a stanowiący, że karze więzienia do lat 3 podlega ten, kto organizuje lub kieruje akcją protestacyjną, przeprowadzoną wbrew przepisom prawa. A w prawie polskim nie istnieje przepis, który formułuje warunki prowadzenia akcji protestacyjnej.

Chodziło więc o to, aby przy pomocy prawa karnego narzucić społeczeństwu pogląd, iż legalną jest tylko taka akcja protestacyjna, na którą istnieje wyrażone zezwolenie władzy. Dla ludowego ustawodawcy nie ma żadnego znaczenia, że art. 47 ustawy o związkach zawodowych przewiduje za kierowanie strajkiem wbrew przepisom tej ustawy karę do 1 roku więzienia, choć na zdrowy rozsądek strajk może przynieść straty ekonomiczne większe niż np. założenie opasek związkowych, co jest już przez Sąd Najwyższy uznane za akcję protestacyjną.

Tę zmianę trzeba było wprowadzić bezszelestnie, bo przecież prawo do wyrażania protestu jest częścią prawa do swobodnego wyrażania opinii zapisanego w art. 19 pkt. 2 Międzynarodowego Paktu Praw Obywatelskich i Politycznych.

Znaczących zmian dokonano wówczas także w przepisach karnych dotyczących przechowywania druków charakteryzujących się brakiem umiarkowania ludowego państwa, jak również poszerzono prawa obywatelskie przez kodeksową od tej chwili możliwość podśluchu telefonicznego i cenzury listów.

Ale wracajmy do początku. Najnowsze zmiany w prawie karnym przygotowywane są już od pewnego czasu. Rodzą się w komisji ekspertów, w której, jak mówią dobrze poinformowani, rej wodzi były prokurator generalny, prof. dr gen. dyw. Lucjan Czubiński. Eksperti Ministerstwa Sprawiedliwości okazali się widać niezdolni do wypracowania postępów zmian w kodeksie karnym, dlatego też o powołanej onegdaj komisji pod przewodnictwem wiceministra Skóry jakoś dawno nie słyhać. Choć komisja Czubińskiego też działa cicho i bez należytego rozgłosu. Od czasu do czasu ktoś uchyla rąbka tajemnicy, ale tematy zainteresowań nie znajdują niestety żywszego oddźwięku społecznego. Sprawa baniacji jest tu wyjątkiem.

A przecież wiadomo już o trzech zaawansowanych koncepcyjnie pomysłach ustawodawczych owej komisji. Pierwszym jest wprowadzenie na stałe do kodeksu trybu przyspieszonego. Kiedy prawo będzie wymagało tylko kilkudziesięciu godzin na postępowania śledcze i sądowe, obrona będzie oczywiście rzeczą iluzoryczną. Podobnie jak przed kolegiami, z tą różnicą, że sąd w tym trybie będzie mógł orzec karę do 3 lat więzienia i 500 000 zł.

Drugi pomysł wynika z częściowego braku zaufania ludowego rządu do obecnego sądownictwa. Ludowa Temida była jednak zbyt mało chłonna na pryncypialne pokajanki p.k. Kostrzewy, komisarza wojskowego Ministerstwa Sprawiedliwości, który na naradach w Popowie wiele razy grzmiał na niedostateczną powołność sędziów wobec prokuratorów. Dlatego, aby wprowadzić do sądownictwa więcej klasowej odpowiedzialności, eksperci od Czubińskiego proponują, aby w niektórych, prostszych sprawach mogli orzekać prawniczo przygotowani kawnicy. Domniemywać można, że chodzi o takie "rewolucyjne trójki" okresu rozwinętego socjalizmu realnego.

Trzeci pomysł dotyczy kieszeni obywatela, a ściślej kieszeni jego rodziny, jako że odpowiedzialność zbiorowa jest niesłusznie zapominanym środkiem socjalistycznej reedukacji społecznej. Propozycja dotyczy konfiskaty mienia obywatela w związku z popełnieniem przez niego przestępstwa. Do tej pory można było orzec konfiskatę wtedy, kiedy skazywano ludzi za popełnienie zbrodni. Obecnie chodzi o drobną zmianę - zastąpienie w odpowiednim przepisie terminu "zbrodnia" terminem "przestępstwo". Skutek będzie taki, że po wprowadzeniu tej drobnej poprawki sąd będzie mógł orzec konfiskatę mienia wobec osób, które popełniły występki, a więc przestępstwo zagrożone karą od 3 miesięcy, a nie jak obecnie wobec tych, którzy popełnili zbrodnię czyli przestępstwo zagrożone karą od lat 3.

Nie udamy się więc wyprowadzić z równowagi celowymi niedyskrecjami Urbana. Kiedy niezawisły sąd w trybie przyspieszonym pod przewodnictwem

klasowo usposobionego kławnika-emeryta z milicyjną przeszłością będzie mógł orzec karę choćby i częściowej konfiskaty mienia już przy wymierzeniu arcyłagodnych trzech miesięcy więzienia za zniszczone w wyniku akcji protestacyjnej mienie społeczne, kara banicji będzie zbyt łagodna. Będziemy już u szczytów socjalistycznej sprawiedliwości wyprzedzając nawet ojczyznę wielkiego Lenina.

Adam Sarna

W stronę (IV) socjalizmu WORCELL

Socjalizm, nurt myśli społecznej, politycznej i moralnej, nie ma nic wspólnego z "budownictwem socjalizmu w PRL-u", wspólnotą socjalistyczną, itp. Spytajmy, jakich ludzi urodził polski socjalizm? Czemu samo słowo socjalizm wywołuje odruchy wymiotne.

Bo ta idea została spospolitowana, sprostytuowana przez komunę. Przypomnijmy jednego z jej twórców. "... był świętym człowiekiem. Powtarzam rozmyślnie ten wyraz święty. Wyraża on najpełniej główną cechę jego charakteru. Całe istnienie tego człowieka było jednym czynnym poświęceniem się bez granic, zaparcia się zupełnego, pracą nieustanną. Wszystko, co nas uderza w legendach o świętych, odnajdujemy w nim, rys za rysem i jeszcze więcej miłości i jeszcze więcej ludzkiego przeświadczenia" - tak pisał o nim Aleksander Herzen-rosyjski opozycjonista.

"... Nigdy nie znamem człowieka z większym poświęceniem, ze szlachetniejszym sercem i czystsza duszą" - to pisał wielki ekonomista i socjalista angielski, Taylor.

"... Przez lat 27 mierzył się dzień w dzień, co godzinę z nędzą, zawsze spokojny. Śmierć jego to śmierć apostoła ludzkości, który w zamian za skarby wiedzy od niej otrzymane wzbogacił ją z kolei jako dobroczynca przyszłych pokoleń swym poświęceniem bez granic, bez osobistych widoków w teraźniejszości" - wspomina legendarny bohater Wiosny Ludów, Ledru-Rollin.

Nim był ten człowiek, uznany przez wybitnych ludzi Europy za świętego, czczony przez najwybitniejszych rewolucjonistów, a zapominany właściwie tylko przez nas? Nazywał się Stanisław Gabriel hrabia Dąb, pan de Trenenstein, de Zawadka, von Worcell. Urodził się w Stepaniu pod Horyniem na Wołyniu. Rodzina posiadała poza miastem Stepan 60 wsi. Sam Worcell otrzymał ich w spadku 23, a w nich 8000 poddanych. Osobowość jego kształtowały spartańskie wychowanie domowe i słynne Liceum Krzemienieckie, to samo, które ukończył Słowacki. Polskie Ateny! Tam Worcell wstępował do "Towarzystwa Szubrawców". Pod tą sardoniczną nazwą kryła się anonimowo działająca postępowo organizacja.

Droga do socjalizmu prowadzi go przez tajne Narodowe Patriotyczne Towarzystwo, przez lożę masonską nurtu narodowego. Wybuch powstania Listopadowego. Młody Worcell walczy w oddziale swego starego ojca, gołymi rękoma - nie chcąc zabijać.

"Bezbronny, z najniższą krwią, jak stary wojak atakował z drugim razem i chwilę potem z oficerem rosyjskim do niewoli wziętym rozprawiał o literaturze francuskiej: zgiełk, dym nie mieszały go wcale".

Wołyń wybiera młodego bohatera na swego posła do warszawskiego sejmu powstańczego. W sejmie tym piętnuje nadużycia wojsk powstańczych jako niegodne polskiego powstania oraz domaga się usunięcia z sejmu niedawnych zwolenników cara Mikołaja. Po upadku Powstania, w Paryżu, Worcell wraz z Mickiewiczem propaguje zwołanie sejmu ludów Europy przeciw Świętemu Przymierzu. Siedzi w więzieniu francuskim za mówienie prawdy o roli Francji w tłumieniu wolności w Europie.

Jest w Anglii. Zapomniakła o nim piękna żona, nie pamiętają rosnące na Wołyniu dzieci. Jeden z najbogatszych ludzi w kraju staje się na emigracji stopniowo nędzarzem. W Anglii tworzy Worcell odezwę "Gminy londyńskiej emigrantów polskiej do emigracji polskiej". Wykłada w niej swoje poglądy; zniesienie zasady dziedziczenia oraz przekształcenia Europy w duchu demokracji i braterstwa. W 1834 r. jesienią zakłada tajną "Sekcję Grudziądzką". Sekcję tę tworzą byli żołnierze Powstania Listopadowego, którzy po jego klęsce byli więzieni przez Prusaków, właśnie w Grudziądzu, a

Franciszek Gołacki

X X X

Nasiąknię krwią asfalty, niepokojone rykoszetami pocisków kamienie ledwie wstrzymują oddech, aby nie krzyknąć o Twojej śmierci.

Pamiętanie staje się opuchłą z ropy raną, która nie może znaleźć przetoki. Kto wymyśli i nałoży na nią kojący opatrunek, Kapłanie Solidarnych?

Żyjemy z otartymi grzbietami, z odparzonymi żebrami. Chodzimy z dziurami po pociskach w czaszce. Jak zwierzęta, jak wilkołaki, jak ludzie, którzy muszą być ludźmi, Król ukoronowany łaską Męczeństwa.

Który byłeś pełen prawdy i dostojeństwa miłości Bożej, który byłeś twierdzą wiary ojców naszych. Ziakniemi więc synowie tej Ziemi szli z ufnością do Ciebie, żebyś uczył ich Boga, żebyś uczył ich samych siebie. Dlatego zabrali Ci życie synowie czarniwni.

Oni bo tu przyszli i rozsiedli się, i przez 40 lat straszają, okradają, zabijają i czynią na nasze dusze. Ty tylko kazałeś się za nich modlić, aby ocalał w nas resztki miłości, żebyśmy byli sprawiedliwi przed Bogiem.

Kapłanie ostarza krwi naszej i kości naszych, Synu nadbuzzańskich Okopów - wsi osiadłej pod niebem rodzianym, Przewodniku pragnącej dla siebie pracować Polski, módl się za nami, módl się za nami nawet przeciw nam!

następnie wsadzeni zostali na statki i wysłani w drogę do Ameryki. W czasie postoju jednego z takich statków w Anglii - kombatanci buntują się i schodzą na ląd. Rząd angielski wyznacza im żebraczy zasiłek i noclegi w szpitalu cholerycznym. Tymi to analfabetami, inwalidami, zajął się hrabia Worcell. Uczy ich pisać, czytać, wykłada historię i kulturę polską, podsuwa broszury socjalistyczne.

Grupa nie przyniosła wstydu nauczycielowi. Rozbitkowie życiowi przemieniają się wkrótce w samodzielną "Gromadę Grudziądzką" i cieszą się popularnością najbardziej radykalnego skrzydła emigracji polskiej. Wkrótce promieniuje ich przykład tak dalece, że powstają kolejne "Gromady Ludu Polskiego": "Humań", "Praga". Worcell staje się duchowym przywódcą całości ruchu.

Dla Worcella pojęcie "społeczeństwo", "socjalizm" jest podrzędnym w stosunku do pojęcia "demokracji". System, będąc zaprzeczeniem indywidualizmu, nazywa komunizmem uważając, że jest on niezgodny z wolnością i przeciw naturze ludzkiej, uznawał więc Socjalizm za podstawę demokracji. Wyprowadził je z chrześcijaństwa. Wzorcem etyki socjalistycznej był dla nich Chrystus. W imię tej etyki potępiał inkwizycję i nietolerancję, w oczach hierarchów katolickich był heretykiem. Ale ten heretyk to naprawdę święty.

Jak przystało na moralistę, Worcell stawia sprawę socjalizmu demokratycznie, albo socjalizm będzie integralny, tzn. związane w sobie to wszystko, co ludzkość wymyśliła w nauce i w co wierzy całym sercem poprzez religię, albo będzie ten socjalizm cząstkowy, martwy, doktrynerski. Socjalizm był więc dla Worcella propozycją kultury, nie podkulturą partyjnych intryg i receptą na uzyskanie frakcyjnego sukcesu.

Początkowo jest zwolennikiem terroru. W kilka lat po wydaniu "Odezwy Gromady Grudziądzkiej" do sekcji Fontainebleau Worcell go odrzuca.

Czytamy: "Obywatele! Uważamy użycie siły jako jedyny środek doprowadzenia do skutku zamierzonych dla ludzi celu, przypuszczamy zatem nowego rodzaju poświęcenie, któremu nie wyrówna żadne inne, idzie o oddanie pod zlorzeczenie, pod klątwę własnego imienia, poświęcenie sławy nawet - nie wiemy czy nas rozumiecie... Jest w naturze człowieka wstręt do krwi, krew nawet nieprzyjaciela rozbija najtwardsze dusze, litość jest jednym z pierwszych uczuć wrodzonych człowiekowi. Wyrzec się tego uczucia, wyrzec się związku z tym wszystkim do czego nas zwierzęca natura naszej porwy skłonność, zerwać z tymi, z którymi młodociane przyjaźnie łączyły nas ogniwa, z którymi krew lub uczucia nas wiązają, zrobić z siebie kawał w celu realizacji boskiego natchnienia - jest niezawodnie wielką ofiarą, jest nadzwyczajnym zaparciem się własnego jestestwa, a oddaniem go jak

PRZESWIT

str.5

gdyby materii na całopalenie do triumfu zasad konieczne".

Worcell trafia w sedno: podstawą społeczeństwa czyli socjalności jest osoba. Wszystko, co narusza osobę, działa nie tylko przeciw niej, ale i przeciw społeczeństwu. Antysocjalnością - ateizm, bo zaprzecza ducha. Antysocjalnością - samobójstwo i kara śmierci, bo rozrywają związek dwóch pierwiastków, składających osobę. Antysocjalnością - monopola i praca przymusowa, bo ścieśniają i znoszą niepodległość pracy. Antysocjalnością - wszelkie targnięcia się na niepodległość czynu, słowa, mowy lub myśli, bo wolność osobista polega głównie na tych warunkach.

"Chcąc zaprowadzić komunizm pośród ludzi, trzeba odmienić całkiem, zgwalczyć ich naturę, pośród trupów dopiero niwelację powszechną można będzie zaprowadzić" - powiada.

Tworząca struna, tworząca z ludu społeczeństwo, jest misja, tj. zadanie, które stawia się przed społecznością. Misją Polski była kiedyś obrona chrześcijaństwa przed pogaństwem, a więc obrona Europy. Ta misja została - wg Worcella - już przerwana, ale historia skorygowała ten jego błąd w roku 1920. Nowa Polska mieć będzie nową misję, albo też nie będzie Polski wcale.

Co ma być misją Polski? Oto odpowiedź Worcella: obrona demokracji, obrona prawdziwych wartości społecznych, równości, niepodległości, wartości narodów i osób. Od Zachodu zagraża nam dziś protestantyzm, od wschodu caryzm i schizma. Zachód niesie wartości mieszczańskie, egoistyczne, kult własności, obojętność moralną. Wschód grozi poprzez caryzm zniewoleniem, odrętwieniem fatalistycznym ludności, zepchnięciem osób do roli biernych narzędzi. Polska musi bronić osoby, musi bronić praw jednostkowych, ale i aktywności, zasady poświęcenia. Egoistom i ludziom - rzeczom przeciwstawiać musi ideał obywatela!

Czyżby "Solidarność" odnalazła w mroku przeszłości swego Proroka?! Pytajcie w bibliotekach o dzieła Stanisława Worcella!

Bolesław Bystron

RUCH

Przywódcy

Andrzej Czuma

Urodzony w 1938 r. w Lublinie w rodzinie inteligentnej. Ojciec Ignacy Czuma był profesorem AUL-u i posłem na Sejm RP, z ramienia BBWR. Prof. Czuma brał udział w antyhitlerowskim ruchu oporu, a po wojnie skazany został jako "pogrobowiec hitleryzmu" na 10 lat więzienia. Arzymany w bardzo ciężkich warunkach stalinowskich więzień, wyszedł po 3 latach w wyniku interwencji Prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego w 1953 r. Wywarł ogromny wpływ na swoich synów. Dwardy, odważny, bezkompromisowy, autentycznie głęboko wierzący, bez bigoterii i klerykalizmu, gorący patriota cierpiący za Polskę, a jednocześnie - wróg każdego kłamstwa - przeciwnik totalizmu.

Andrzej Czuma ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, był aktywnym działaczem w Duszpasterstwie Akademickim w Lublinie i w Warszawie. Już na studiach przeciwstawiał się fałszowaniu historii, czemu dał wyraz podczas spotkania na Jelonkach w Warszawie z autorem książki szkalującej Piłsudskiego i Polskę międzywojenną - Stefanem Arskim, gdy atakował Arskiego za fałszowanie historii i jawną stronniczość.

Wysportowany, bardzo silny, koleżeński, wesoły i niezwykle prawy, był jednak A. Czuma konspiratorem nienajlepszym. Jako główny organizator i później koordynator ruchu pozostawił zbyt wiele spraw niedokończonych i zbyt często bez stałego planu. Improwizował i zbyt wiele spraw załatwiał osobiście, to znowu w innych sytuacjach nadmiernie ufaj ludziom nie zawsze na zaufanie zasługującym. Trzeba jednak pamiętać o sytuacji, kiedy z reguły szybkiej i prościej było wykonać coś samemu, niż ustalać to z wlecznie niezdecydowanymi, załkzionymi i tym samym niepewnymi kolegami. Sytuacja w konspiracji często i prowadząca do nadmiernego przepracowania organizatorów.

Benedykt Czuma

Urodzony w 1941 r. w Niepołomicach, ukończył Politechnikę Warszawską /wydział mechaniki precyzyjnej/. Podobnie jak i brat Andrzej - odważny, głęboko wierzący. W pracy konspiracyjnej dokładny i systematyczny. Utworzył grupę ruchu w Warszawie, a później wywarł bardzo istotny wpływ na ukształtowanie się Iodżkiego ośrodka ruchu. Mieszkanie B. Czuma było głównym lokalem w Łodzi i tu też w piwnicy była schowana drukarnia ruchu, której nie udało się jednak - z uwagi na brak kilku istotnych elementów - uruchomić.

Byli bracia Czumowie nietypowi w swoim otoczeniu, na które silnie oddziaływali swoją głęboką wiarą w ostateczny triumf prawdy i dobra, zgodnością słów i czynów - co zawsze musi imponować. Stanowili dla wielu ludzi nadzieję, że skoro jeszcze tacy ludzie są, że skoro jeszcze wśród powszechnej rezygnacji i zajmowania się wyłącznie własnymi sprawami są ludzie tak jasno i zdecydowanie gotowi mówić prawdę i dla niej się poświęcić - nie wszystko stracone. Ruch określany był czasami jako znajdujący się pod wpływem braci Czumów, że decydujący głos do nich należał.

Tak np. mówi o ruchu Tadeusz Zaleski, pracownik ŁSW - specjalista od opozycji politycznej. Wywiad z nim zamieszczony jest w książce Mariana Reniaka pt. "KPN, kulisy, fakty, dokumenty". Przy okazji warto może zacytować poświęcony ruchowcom fragment tej książki:

"Grzechy młodości nie muszą i nie mogą wlec się ciągle za człowiekiem. Tym bardziej, jeśli większość byłych członków "Ruchu" zajmuje się dziś normalną pracą i chce zapomnieć, że ma za sobą niełatwe przeżycia. Mogę to stwierdzić z pełnym przekonaniem, ponieważ od czasu do czasu spotykam się i rozmawiam z niektórymi, byłymi uczestnikami tej grupy". Tak przy okazji - z którymi, czy mógłby pan podać chociaż kilka nazwisk, to bardzo interesujące?

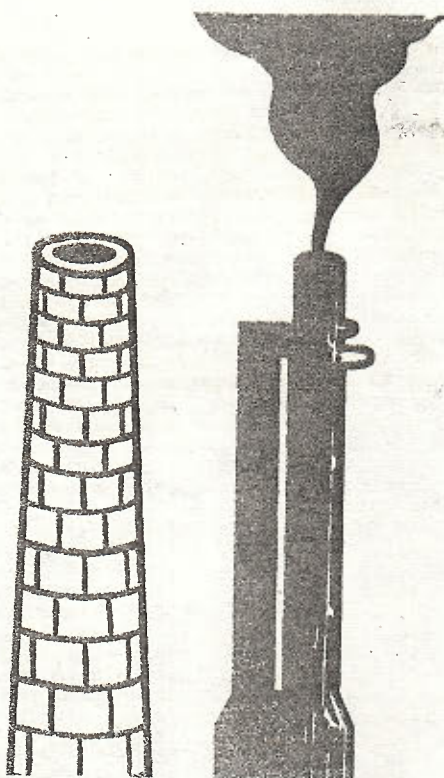
W każdym razie proces ruchu był określanym czasami nawet w aktach sądowych jako proces Andrzeja Czuma.

Marian Gołębiowski

Urodzony w 1911 r. w Płońsku w rodzinie robotniczej, był nauczycielem. Ukończył podchorążówkę przed wojną. Walczył w kampanii wrześniowej a następnie został internowany w Rumunii, skąd uciekł i przedostał się do Francji do polskiej armii. Po klęsce Francji znalazł się w Anglii, z której jako skoczek "cichociemny" wrócił do okupowanej Polski. Żołnierz Armii Krajowej, znany na Lubelszczyźnie pod pseudonimem "Ster" i "Irka". Po wojnie nie ujawnia się, tylko kontynuuje walkę organizując zbrojne oddziały na Lubelszczyźnie. Sądzony w procesie I Zarządu WiN-u, tzw. procesie Rzepeckiego. Oskarżonymi wówczas byli: Jan Rzepecki, Antoni Janojca, Jan Gergowski-Szczurek, Tadeusz Jachimiek, Henryk Żuk, Kazimierz Leski, Józef Rybicki, Marian Gołębiowski, Ludwik Łuczyszka, Emilia Malessa.

Prokurator zarzucał Gołębiowskiemu m.in.: współudział w likwidacji posterunków UB w Grabowcu, Dęblinie, Nałęczowie i Hrubieszowie, gdzie ponadto oddział "Wygi" zdobył więzienie i uwolnił więźniów politycznych, zabójstwo sekretarza PPR we Frankopolu /gm. Biłgoraj/ - Stanisława Gauchckiego oraz funkcjonariuszy UB: Józefa Gmarnyńskiego, Aleksandra Grodka, Władysława Humbera oraz starosty Jacentego Wilka. Ponadto współudział w zdobyciu przez oddział "Wygi" 22 milionów złotych z KKO w Hrubieszowie, uwolnienie więźniów z więzienia w Tomaszowie Lubelskim, zniszczenie gorzelni w Szyszowicach i zdobycie 800 litrów spirytusu, rozbijanie i atakowanie drobnych posterunków MO i UB oraz patroli milicyjnych. Za to wszystko M. Gołębiowski został skazany na śmierć, zamienioną następnie na mocy amnestii na bezterminowe więzienie.

A oto jedna z charakterystyk M. Gołębiowskiego, wydana przez naczelnika więzienia w Lublinie dn. 15.VI.1953 r., a więc po osmiu prawie latach niewoli: "Marian Gołębiowski pochodzenia robotniczego o wykształceniu średnim, politycznie rozwinięty dobrze. Skazany z art. 86 i 90 KKWP na 15 lat więzienia z terminem odbywania kary do dn. 3.II.1962 r. /na mocy amnestii w 1952 r. zmniejszono wyrok z dożywotniego więzienia na 15 lat - przyp. E.O./.. Do popełnionego czynu przyznaje się. Pod celą zachowuje się źle, gdyż poucza więźniów, jak należy prowadzić roboty dywersyjne, oraz wpaja w nich wrogość do ustroju PRL, za co był kilkakrotnie karany. Za popełnione przestępstwo skruczy nie okazuje. Do ustroju PRL ustosunkowany wrogo. Do administra-



cji więziennej odnosi się arogancko, jest więźniem niepoprawnym. Więzienie jako kara nie wpływa na niego wychowawczo.

I jeszcze jedna opinia, tym razem wystawiona przez naczelnika więzienia w Sieradzu w dn. 8.II.1956 r.: "Marian Gołębiowski stara się być więźniem zdyscyplinowanym, aby uspić czujność administracji. W stosunku do personelu uważa się za człowieka wyższego, do przemian nie jest przekonany. W stosunku do współwięźniów utrzymuje solidaryzm i koleżeństwo z więźniami antypaństwowymi. Pracę wykorzystywał, że mógł się poruszać po terenie dla dokonania ucieczki".

W lutym 1956 r. M. Gołębiowski wraz z kilkoma więźniami /Z. Jankowski, K. Piotrowski/ i strażnikiem /Jugeniusz Matusiak/, który postanowił przyłączyć się do nich, podejmują próbę ucieczki. Wiążą kilku wartowników, otwierają cele i wydostają się na zewnątrz. Nie mogą jednak otworzyć bramy, gdyż złamał się klucz, a są ostrzeliwani z wieżyczki strażniczej. Po godzinie budynek zostaje otoczony przez oddziały milicji i wojska, a niedoświadczeni uciekinierzy poddają się. Odbywa się rozprawa na terenie więzienia mająca służyć sterroryzowaniu pozostałych osób. Jest ten proces farsą zupełną, a Gołębiowski zostaje skazany powtórnie na dożywotnie więzienie. A jednak za kilka miesięcy, w wyniku fali odwilży, na podstawie amnestii z kwietnia 1956 r. opuszcza po 10 latach więzienie. Zamieszkuje w Warszawie, gdzie spotyka się z braćmi Czumami, z których ojcem znał się jeszcze z okresu okupacji hitlerowskiej. "Do przemian nie jest przekonany" nadal. Podczas spotkań z młodzieżą, której w domu Czumów jest zawsze pełno, opowiada o swoich przejściach, o karach, celach przesłuchań, o walce WiN-u i innych organizacji, o celach śmierci i tym wszystkim, co władze za wszelką cenę starały się wyazać ze świadomości młodego pokolenia, a czego wyazać się nie udało. Był Marian Gołębiowski jednym z twórców raczej niż organizatorem ruchu, bardziej inspiratorem i duchowym patronem niż czynnym działaczem, chociaż znajdował wspólny język z młodym pokoleniem - to jednak był już człowiekiem zmęczonym. Bolesław Stolarz zeznał w śledztwie, że to właśnie Gołębiowski był szarą eminencją i poglądy takie być może podzielało sporo spośród aresztowanych ruchowców. "Doszedłem do przekonania, że Marian Gołębiowski odgrywa wyjątkowo rolę w ruchu i jest jego szarą eminencją. Wydawał dyrektywy, które były wiążące dla Andrzeja Czumy, i które ten realizował. W takich sprawach jak ostateczna wersja programu, wydawanie "Biuletynu", akcja "Porcnin" i inne, ostatecznie służyło zawsze do Gołębiowskiego". Stolarz myślał, że pomoże mu to na procesie, ale prawdy nie mówił. Ruch nie był tworem Gołębiowskiego i nikt nie wyda-

wał tu nikomu żadnych "dyrektyw", wszystkie działania były dobrowolne, a o ogólnym kierunku decydowali raczej bracia Czumowie, S. Niesiołowski i E. Morgiewicz. Nie było zresztą przez kilka pierwszych lat żadnych sporów i kontrowersji, zaczęły się one dopiero po 1968 r., kiedy do ruchu weszła kilkusobowa grupa uczestników studenckiego protestu z Łodzi.

Emil Morgiewicz

Urodzony w 1940 r. w Wilnie w rodzinie inteligentnej. Studiował prawo na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie zetknął się z Andrzejem Czumą. Był działaczem studenckim o zainteresowaniach dziennikarskich. Rzeczowy, inteligentny, z poczuciem humoru, znał się nieźle na problematyce niemieckiej i w ogóle międzynarodowej. Raczej teoretyk niż działacz uchodził za głównego ideologa ruchu i było coś słusznego w tej opinii, chociaż mówienie w ogóle o takiej funkcji wydaje się grubą przesadą. Sformułował Morgiewicz krótki, jasny program, który wprawdzie nie został przyjęty jako program ruchu, ale który wywarł istotny wpływ na kształt polityczny całej formacji. Był redaktorem odpowiedzialnym za "Biuletyn", do którego napisał znaczną część artykułów.

Stefan Nyszkiewicz-Niesiołowski

Urodzony w 1944 r. w Kałęczynie koło Brzezin w rodzinie inteligentnej. Jego ojciec Janusz Nyszkiewicz-Niesiołowski brał udział w wojnie z Rosją w 1920 r., a także wojnie z Niemcami w 1939 r., a podczas okupacji hitlerowskiej służył w Armii Krajowej. Po wojnie szykanowany przez UB jako "obszarnik", wywarł istotny wpływ na poglądy i drogę życiową synów. Ponadto brat matki S. Niesiołowskiego - Tadeusz Łabędzki, działacz Narodowej Demokracji, redaktor "Wszelchpolaka" i żołnierz NSZ, został w okrutny sposób zamordowany przez funkcjonariuszy UB w Łodzi w 1945 r. Ciało nie zostało wydane rodzinie, prawdopodobnie z uwagi na ślady bicia i tortur, i mimo wielokrotnych starań czynionych przez matkę i siostrę T. Łabędzkiego już po 1956 r. nie udało się wyjaśnić dokładnie okoliczności śmierci, nie mówiąc oczywiście o ukaraniu winnych zabięcia niewinnego człowieka, bez udowodnienia czegokolwiek, po prostu zakatowania go w lochach UB. Famiłgę o tym zdecydowała o stosunku S. Niesiołowskiego do systemu totalitarnej dyktatury. Już w szkole przeciwstawiał się fałszowaniu historii, a podczas studiów /wydział biologiczny Uniwersytetu Łódzkiego/ wystąpił na wiecu studenckim z obroną ordębia biskupów polskich do biskupów niemieckich. Był aktywnym działaczem Duszpasterstwa Akademickiego. Wspólnie z kolegami ze studiów organizował kolportowanie w Łodzi ulotek krytykujących wewnętrzną i zagraniczną politykę Władysława Gomułki.

Spotkanie się Czumów, Morgiewicza, Niesiołowskiego i Gołębiowskiego musiało doprowadzić do powstania jakiejś tajnej organizacji, gdyż nie istniał dla nich w ogóle problem, czy należy przeciwstawiać się totalizmowi, a wyłącznie - w jaki sposób to czynić?

Stefan Niesiołowski był organizatorem kózkiej grupy ruchu i zajmował się głównie praktycznymi, technicznymi i organizacyjnymi sprawami. Do dyskusji programowych nie przywiązywał większej wagi, uważając, że czas i tak wszystko zmieni, a samo życie napisze najlepszy program. Interesowały go natomiast: finansowe zabezpieczenie ruchu, maszyny, zorganizowanie własnych powielaczy, drukarni, kontaktów z zagranicą, sieci łączności. Jako konspirator nie najlepszy, gdyż zbyt ufający ludziom i dopuszczający zbyt wiele osób do różnych tajemnic i sekretów, potrafił natomiast Niesiołowski oddziaływać na ludzi w sensie pozyskiwania ich dla ruchu, rozpraszaniu ich wątpliwości. Czasami zbyt pragmatyczny, lekceważący wszystko, co nie przyniosło doraźnego efektu, zapatrzony jedynie w skuteczność, powtarzający, że interesują go jedynie maszyny, powielacze i pieniądze, w czym niezupełnie przesadzał - potrafił jednak zapewnić dość solidną bazę techniczną i utworzyć kilka grup funkcjonujących przez pewien okres czasu zupełnie sprawnie.

Elwa Ostrołęcka

*) Kolejny fragment książki poświęconej dziejom powstałej przed dwadziestu laty konspiracyjnej organizacji, która podjęła nierówną walkę z komunistycznym totalitaryzmem.

CZŁOWIEK (9) POŚROD LEGEND

Część trzecia
FILOZOFIA CZYNU

"tylko ten człowiek wart nazwy
człowieka, który na pewne przekona-
nia i potrafi je bez względu na
skutki wyznawać czynem" /J.P./

1.

Aforyzm Piłsudskiego; mówiący o wyznawaniu idei czynem, stanowi klucz nie tylko do jego światopoglądu; jest to uniwersalny klucz otwierający filozofie i ludzi: każda szukać wartości kierujących życiem człowieka w samym życiu, każdą odczytywać je z czynów a nie z deklaracji. Rozróżnienie czynów werbalnych od rzeczywistych nie wklucza, rzecz jasna, ich zgodności, wprowadza jednak pewną hierarchię idei i nakazuje podejrzliwość wobec szlachetnie brzmiących odezw, wspomnień i testamentów. Dotyczy to także Piłsudskiego, którego testament winniśmy odczytywać nie tylko z pism wybranych, lecz także - i przede wszystkim - z jego życia. Dwadzieścia lat konspiracji, pięć lat zesłania, dwa lata walk legionowych - to główne punkty tego testamentu. Nie wolno jednak zapominać, że w podpunktach obok Kirańska, Magdeburga, Kostiuchnoki znalazły się także Brześć i zamach majowy.

Zadaniem tego szkicu musi być znalezienie wspólnego mianownika tych spraw, znalezienie wartości, które kierowały taką właśnie praktyką polityczną Piłsudskiego.

2.

Działalność Piłsudskiego - kilkadziesiąt lat walki o niepodległość w czasie, kiedy wydawało się to szaleństwem - pozwala zrekonstruować jego światopogląd jako romantyczną wiarę w czyn, wiarę w to, że jednostka może coś zrobić w "wielkim chaosie", który nazywamy Historią. Potwierdzają to słowa Piłsudskiego wygłoszone 11.1.1920 r. w Lublinie: "W dzieciństwie moim ciągle mi szeptał pod uszy tzw. mądre przysłówie: 'Nie dmuchaj pod wiatr!', 'Słowa muru nie przebijesz!', 'Nie porывaj się z motyką na słońce'. Doszedłem potem do tego, że siła wola, energia i zapak mogą te zasady zakłamać. I obecnie, kiedy stoimy wobec wielkich zadań dalszej budowy państwa polskiego, właśnie potrzeba nam ludzi, którzy potrafili tej starej mądrości przysłów się przeciwstawić...".

Takie ujęcie spraw prowokuje od razu kilka py-

tań: wolność - ale przeciwko czemu?, jak się ma taka wolność do konieczności tradycyjnie zwanej Losem?, jak przedstawia się wizja historii Piłsudskiego?

Zacznijmy od sprawy najbardziej ogólnej, od pytania o Los. Sam Piłsudski odpowiada na nie w sposób następujący: "ja czasem walczę z Losem i los walczam. Ale nieraz zdaje sobie sprawę, że los jest silniejszy ode mnie". Oznacza to odrzucenie wiary w rządzącą światem konieczność i zastąpienie konieczności dialektyką konieczności i wolności, ich walką - której wynik nie może być z góry przesądzony. Należy walczyć; bo to tylko daje nam szansę na zwycięstwo; bierność tej szansy nie daje. Co więcej: bierność degraduje nas jako ludzi. W słynnym liście do Feliksa Perla Piłsudski napisał: "bez walki - i to walki na ostre - jestem nie zapasnikiem nawet, a wprost byleciem okładanym kijem czy białejką". W szkicu "Jak stałem się socjalistą" znaleźliśmy wczesniejsze nieco ujęcie tej idei: "dopóki niewolnik lub wyzyskiwany bez szemrania krzywdy znosi, dopóki kark swój pokornie schyla... dopóty jest on współwinnym niewoli i krzywdy swojej". Wolność jest /jak wynika z przemówienia w Lublinie/ czymś, do czego trzeba dorwać, walka z Losem - podjęciem swego człowieczeństwa, elementem definicji człowieka. Jednostka nie musi walczyć, ale m o ż e, bo tylko ona sama jest siedzibą wolności. Wynik walki - to, co nazywamy historią - jest jednak sprawą otwartą, zależy od siły ludzi, ich entuzjazmu i uporu: "Losy wojny są w rękach Boga - powiada Piłsudski i dodaje: ale ludzie są po to, aby wojnie dopomóc" /przemówienie w Lucku 10.1.1920/.

3.

Kto zatem jest partnerem a kto przeciwnikiem człowieka? Czy Bóg tylko "trzyma w rękach" losy, czy też wyznacza je do końca? Czy człowiek - walcząc z Losem - czyni to wobec chłodnej obojętności Boga, czy też walcząc z Losem walczy z Bogiem?

Nie miejsce tutaj, aby wchodzić w problemy religijności Piłsudskiego. Opinie na ten temat są, jak to bywa, podzielone. Wiślibiciele z kręgów katolickich starają się udowodnić, że marszałek był głęboko wierzącym, przeciwnicy - że był ateistą. Do ostatnich należy jezuita, ks. Józef Warasawski, który w pracy "Studia nad wyznaniowością religijną marszałka Józefa Piłsudskiego" udowodnił, że już w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku Piłsudski odszedł od katolicyzmu. Najpierw w kierunku abstrakcyjnego protestantyzmu /jego nawrócenie na to wyznanie Warszawski uważa za wyraz autentycznych przekonań/, następnie w stronę zupełnie niewiary. Powtórne nawrócenie się na katolicyzm /27.11.1916/ Warasawski uważa za akt nieautentyczny, mający ułatwić późniejsze małżeństwo ze Szczerbińską /25.X.1921/, dokonane zresztą w obrządku katolickim.

Trudno zgodzić się z całością tych wywodów. Nie wiemy, czy nawrócenie Piłsudskiego na protestantyzm było wyrazem jego przekonań filozoficznych - wiemy, że było na pewno wyrazem miłości do "Pięknej Pani" Marii, która - jako rozwódka - nie mogła przecież wziąć ślubu katolickiego. Z kolei rekonwersja Piłsudskiego miała miejsce w czasie ciężkiej choroby, dyskusja na temat autentyczności nawrócenia oznacza dyskusję na temat autentyczności przeżytych egzystencjalnych związków z pojawieniem się możliwości śmierci, dyskusję na temat lęku, którego nie przeżyliśmy, rozważań, których nie znamy. Być może, ówczesny tok myśli Piłsudskiego przebiegał po linii słynnego "zakładu" Pascala, a być może w okopach i w chorobie Piłsudski przeżył jakieś inne, niedostępne nam prawdy. Każda odpowiedź może być tylko hipotezą.

Nie jest natomiast hipotezą fakt, że Piłsudski nie przejmował się zbytnio dogmatami żadnej religii. Wiązało się to z jego ogólnym stosunkiem do dogmatów i utrwalonych doktryn /"Doktryna daje spokój, z którym ludzie nie lubią się rozstać, ale w życiu ciągle wszystko się zmienia..."/. Ale wiązało się także i z tym, że w jego prywatnej hierarchii wartości romantyczna miłość do kobiety stała przeważnie wyżej niż miłość do Boga. Zakochawszy się w "Oli" Szczerbińskiej - towarzysząc konspiracji, uczestnicząc akcją na placu Grzybowskim - Piłsudski już od roku 1908 żył z nią w tzw. wolnym związku, a więc praktycznie żył w trójkacie. Miłość ta przeszła ciężkie próby - wojnę, potem uwięzienie Piłsudskiego. Jego najmłodszą córką, Wandą, urodziła się w czasie, kiedy był już więźniem Magdeburga. Powrót z niewoli nie oznaczał rozstrzygnięcia problemów, Piłsudski nie miał rozvodu, jego związek z "Olą" był wyzwaniem dla "moralistów" i tematem niesmacznych plotek. Pierwsza żona, Maria Piłsudska, zmarła w nocy z 16 na 17 sierpnia 1921 r., ślub ze Szczerbińską miał miejsce dwa miesiące później.

Ocena tych faktów będzie zawsze... prezentacją poglądów oceniającego. Można w tych faktach widzieć dowód na "praktyczny ateizm" Piłsudskiego, można widzieć "romantyzm" marszałka, można wreszcie - i to chyba jest najbliższe prawdy - widzieć dramat osobisty Piłsudskiego. Trudno jednak na tej podstawie wysnuwać zbyt dalekie wnioski na temat stosunku Piłsudskiego do Boga. Wydaje się, że religijność Piłsudskiego miała jakby dwa różne wymiary. W wymiarze filozoficznym wahała się między abstrakcyjnym deizmem a agnostycyzmem, w wymiarze praktyki życiowej była kwestią tyleż sentymentu, co wierności dla starej tradycji ratującej tożsamość narodu. Tę dwoistość postawy Piłsudskiego najtrafniej ujął kiedyś kardynał Kakowski straszczając jedną ze swych dysput z marszałkiem: "Co do lastnienia Boga ma poważne wątpliwości, a jednocześnie do Matki Boskiej gorące nabożeństwo".

Gdn.

BOHDAN URBANKOWSKI

/Tekst drukujemy bez wiedzy i zgody autora/

Podziękowania

Ronald II - materiały Motek I, - Ryba 2x0,6
Dąbrowa - narzędzia